

Bogucka, Maria

Życie z cenzurą

Czasy Nowożytne 5, 167-170

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Maria Bogucka
(Warszawa)

Życie z cenzurą

Moje „życie z cenzurą” trwało ponad 40 lat, biorąc pod uwagę fakt, że pierwszy artykuł opublikowałam w r. 1948. Było tych zmagani z cenzorami dużo, mimo iż zajmowałam się stosunkowo „bezpiecznym” okresem, schyłkiem średniowiecza i czasami nowożytnymi. Ale przez 19 lat byłam naczelnym redaktorem miesięcznika *Mówią wieki* i to przesądziło o tym, że byłam stałym „klientem” Urzędu Kontroli. Zresztą fenomen cenzury to nie tylko Urząd przy ul. Mysiej. Ogromną rolę odgrywała cenzura nieformalna, wewnętrzna wydawnictw i redakcji, a także – autocenzura, polegająca na indywidualnej samokontroli i samoograniczaniu się każdego piszącego: wiele osób z góry pomijało pewne tematy lub używało eufemizmów, uważając walkę o pełnię wypowiedzi za daremną.

Na fali popaździernikowej euforii w początkach roku 1957 zrodził się w Polskim Tow. Historycznym projekt zorganizowania popularnego periodyku, który miały odschematyzować i odfałszować historię i wypełnić „białe plamy” istniejące w powojennych wydawnictwach. Podejmując się tego zadania i obejmując stanowisko redaktora naczelnego byłam bardzo młoda i naiwna, świeżo po doktoracie, a więc bez autorytetu naukowego. Nie zdawałam sobie sprawy ani z ogromu trudności jakie mnie czekają, ani z osobistego ryzyka (bardzo słusznie ostrzegło mnie wówczas parę doświadczonych osób). Nie ma to jednak, jak młodzieńczy entuzjazm! Publikacji podjęły się (po odmowie ze strony Wiedzy Powszechnej) Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Ukształtowanie osobowe redakcji wynikało więc z przetargów między PTH, a PZWS, a także z pewnych zakulisowych manipulacji, o których wówczas nie miałam pojęcia. W rezultacie w kolegium redakcyjnym mogłam liczyć na lojalność i pomoc jedynie ze strony 2–3 podobnie jak ja myślących osób. Fakt, że nie byłam członkiem partii jednocześnie ułatwiał (początkowo), ale i utrudniał mi pracę. Partia – przynajmniej przez jakiś czas – nie mogła bezpośrednio wydawać mi poleceń, ale tym pilniej patrzyła mi na ręce.

Wielka awantura wybuchła już przy ukazaniu się pierwszego numeru *Mówią wieki* (styczeń 1958). Zamieściliśmy w nim wywiad z prof. T. Manteufflem, w którym Profesor bardzo krytycznie i bez ogródek ocenił naukę historyczną ostatniego (tj. lat 1945–1957) dwunastolecia, mówiąc otwarcie o brakach i błędach, o skrępowaniu badań, o wszechwładzy Urzędu Kontroli Prasy, o presji bieżącej polityki „która nie potrafi rozgraniczyć badań naukowych od propagandy”, „o żargonie wiecowym” i „cytatologii”. Dziś trudno sobie wyobrazić burzę, jaką ten tekst wywołał. Cenzor, który przepuścił wywiad wyleciał z pracy. Groziło odwołanie prof. Manteuffla z dyrektury IH PAN i całkowite rozgromienie redakcji, która stała się obiektem ostrych ataków ze strony Wydziału Nauki i Wydziału Propagandy przy KC PZPR. Skończyło się jednak jedynie na pogróżkach; do składu redakcji (początek 1958) wprowadzono jeszcze jedną „zaufaną” osobę, która miała czuwać nad pracą od środka. Również wydawnictwo zostało pouczone o obowiązku lepszej kontroli pisma.

Tak zaczęły się lata walki o kształt pisma, o każdorazowe sformułowania zamieszczanych artykułów, także o ich tematykę. Może właśnie fakt, że z pierwszej bitwy wyszliśmy obronną ręką spowodował, że nie daliśmy za wygraną. Walka toczyła się głównie o sposób przedstawiania

historii najnowszej (II wojna światowa, rola AK i emigracji, udział Polaków w bojach na zachodnich frontach, stosunki z ZSRR, tradycje walk narodowo-wyzwoleńczych). Zapoczątkowane już w pierwszym numerze *Calendarium II wojny światowej*, mimo iż w miarę upływających miesięcy i lat stawało się coraz bardziej lakoniczne, zachowało do końca – mimo rosnących nacisków cenzury – swój obiektywistyczny charakter i podawało szeroki wachlarz informacji (choć oczywiście nie ukazała się w nim np. wzmianka o Katyniu). Nie sposób omówić wszystkich ingerencji – były one w każdym prawie numerze, dotyczyły faktów, nazwisk, interpretacji. Niemniej dość często udawało się „Mysią” przechrzyć lub zagadać. I tak np. w r. 1969 udało się przeforsować druk artykułu Cezarego Chlebowskiego (*Tragedia mińskiego więzienia*, 1969/9): za „cenę” informacji o współpracy polskiego i radzieckiego podziemia czytelnik dowiedział się o istnieniu i akcjach „Wachlarza”. W r. 1979 (nr 4 i 5) zamieściliśmy po niemałych trudach artykuł badaczki amerykańskiej polskiego pochodzenia, prof. A. M. Cieniędzy o polityce mocarstw zachodnich wobec Polski w okresie międzywojennym i to nie tylko tekst, ale i interesujące fotografie m. in. dwie z Józefem Piłsudskim.

Wszystko to działo się jednak kosztem niesłychanych nerwowych starć i w atmosferze narastających nacisków na redakcję, przeciw której prowadzono m. in. kampanię prasową, wykorzystując do niej niestety niektórych historyków (sierpień 1963, ataki w „Kulturze” w związku z ukazaniem się w *Mówią wieki* notatki o *Zarysie historii Polski* pióra S. Arnolda i M. Żychowskiego). Obok publicznych ataków mnożyły się donosy kierowane do wydawnictwa lub do Wydziału Nauki i do Wydziału Propagandy przy KC PZPR wysuwające różne oskarżenia (np. o odmowę druku określonego artykułu itp.). Przeniesienie pisma w końcu 1974 r. do innego wydawnictwa (Nasza Księgarnia) nie wiele mogło tu zmienić. W wyniku coraz ostrzejszych brutalnych ataków wyraźnie kierowanych przeciw mnie personalnie (liczne krytyczne omawianie „linii” pisma, wzywanie „na dywanik” do KC), musiałam w połowie 1976 r., złożyć rezygnację z funkcji redaktora naczelnego.

W rezultacie kontrowersji wokół *Mówią wieki* moje nazwisko zostało wpisane na jedną z tajnych czarnych list funkcjonujących w latach 70-tych i zakazujących pewnym osobom publikowania książek. Zwróciła mi wówczas maszynopisy i rozwiązała umowy o *Historię Polski do r. 1864* i o *Kazimierz Jagiellończyk i jego czasy* – Wiedza Powszechna. Przygotowany właśnie maszynopis *Dziejów kultury polskiej do 1918* został kolejno odrzucony przez KiW, Iskry, PWN. Dopiero po kilku (3–4) latach „zapis” został zniesiony i *Kazimierz Jagiellończyk* ukazał się w PIWie (1981), a *Dzieje Kultury* w Ossolineum (1987).

W początkach 1987 r. wybuchła nowa sprawa. Nie dopuszczono do rozpowszechniania niemieckiej wersji mojej książki *Hold Fruski*, opublikowanej przez Interpress pt. Die Preussische Huldigung, i zniszczono cały jej nakład (udało się ocalić około 100 egzemplarzy, są to dziś „białe kruki”). Powód: zastosowanie niemieckich nazw Gdańska i Królewca. Argumenty, że tłumaczeniu podlega cały tekst, także nazwy geograficzne, że występuje przeciw w książce Warschau i Krakau a używanie nazwy Kaliningrad byłoby rażącym ahistoryzmem, nie pomogło. W istocie sprawa miała personalny podtekst. Oto Interpress wydał w tym samym czasie luksusowy album o kulturze Marii i Bogdana Suchodolskich w wersji francuskiej i angielskiej, gdzie figurował Danzig i Königsberg. Z protestem wystąpiło Stowarzyszenie Odra–Wisła. Władze nie chciały jednak zrobić przykrości prof. Suchodolskiemu, przewodniczącemu Narodowej Rady Kultury, skłonnemu zawsze do kolaboracji. W dodatku album był bardzo kosztowny, jego wycofanie spowodowałoby znaczne straty wydawnictwa. Stąd unik: rzucono „na pożarcie” książkę Boguckiej, książkę która miała pecha ukazać się w nieodpowiednim momencie, usunięto też z pracy redaktorkę, która ją przygotowywała (choć w oficjalnym pisemnym oświadczeniu wzięłam na siebie całkowitą odpowiedzialność za niemiecką formę nazw).

Jako redaktor naczelny *Acta Poloniae Historica* (od r. 1978) nie miałam właściwie kłopotów z cenzurą – pismo było niskonakładowe, obcojęzyczne, przeznaczone dla zagranicy, i ul. Mysia

się nim nie interesowała (choć maszynopisy w jęz. polskim musiały być przedstawiane do imprimatur). Dopiero pod koniec 1986 nastąpiła interwencja, ale nie cenzury, lecz Wydziału I PAN (ściśle departamentu wydawnictw) – usiłowano zmusić redakcję do wycofania z druku artykułu Br. Geremka „Geographie et apocalypse”. Stanowczo odrzuciliśmy obłudne sugestie, że artykuł jest słaby naukowo i wydrukowaliśmy go w czołówce tomu 56.

Ostatni zatarg osobisty z cenzurą „wewnętrzna”, wydawniczą miałam również w r. 1986, przy przygotowaniu do druku maszynopisu „Dziejów kultury polskiej do r. 1918”. Wydawnictwo Ossolineum zażądało mianowicie wykreślenia całego akapitu dotyczącego roli Jasnej Góry w XIX w. (I wyd. str. 339). Wykreślono również dwie zwrotki popularnej pieśni rewolucyjnej, w których przewijał się motyw „Moskala” (I wyd. str. 378). Po długim okresie bezskutecznych starań o ulokowanie maszynopisu w jakimkolwiek wydawnictwie nie miałam sił do walki. Może książka doczeka się jeszcze kiedyś wznowienia, w którym skreślenia będzie można przywrócić?

Prócz kłopotów z cenzurą miałam niestety okazję zapoznać się z ostrzejszą jeszcze kontrolą druku jaka istniała w NRD. Pod koniec lat siedemdziesiątych wydawnictwo Koehler und Amelang z Lipska zaproponowało mi tłumaczenie i publikację „Życia codziennego Gdańska w XVI–XVII w.” (PIW 1964). Miała to być wersja skrócona i pod innym tytułem (Das alte Danzig), gdyż wydawca nie miał prawa do tytułu Życie codzienne. Tłumaczenie książki historyka polskiego, o którym było wiadomo, że nie jest członkiem PZPR i nie należy do ulubieńców władzy wydawało się jednak w Lipsku imprezą dość ryzykowną. Stąd postanowiono zaopatrzyć książkę we wstęp prominentnego historyka eneradowskiego, który w ten sposób dałby swoje imprimatur. Uzyskanie takiego wstępu nie było jednak łatwe, osoba która go przyrzekła odkładała i wykręcała się jak mogła, chowała przed redaktorką, którą wydawnictwo wysyłało – cała historia, którą w tajemnicy mi potem opowiedziano, mogłaby posłużyć za scenariusz do filmu komediowego. Wreszcie rzecz poszła do druku, niestety w „fatalnym” momencie. Książka była gotowa w sierpniu 1980 r., właśnie gdy w Gdańsku wybuchła Solidarność. Miasto dostało się w NRD na indeks i w pierwszej chwili rozważano już zniszczenie całego nakładu. Kilka miesięcy trwały przetargi w których dowodzono, że przecież książka dotyczy Gdańska sprzed kilkuset lat i wreszcie w grudniu 1980 władze NRD zezwoliły na jej rozpowszechnianie.

W początkach lat 80-tych przygotowywałam dla lipskiego wydawnictwa Urania książkę o dziejach kultury polskiej w okresie przedrozbiorowym (Das Alte Polen, Leipzig 1983). Kilka razy przyjeżdżała do mnie do Warszawy redaktorka nie tylko w celu uzgodnienia przekładu ale i pewnych treści. Cenzura w NRD, jak się okazało, była niezwykle uczulona na słowo „wolność” – błagano mnie, aby je omijać lub zastępować jakimś innym określeniem (!). Ogromny niepokój wzbudził również ostatni rozdział mówiący o dziedzictwie i tradycjach kultury staropolskiej w naszej dobie. Nazwiska Gołubiewa, Bunscha, Harasymowicza, Grochowiaka, Rymkiewicza, Sity, Gombrowicza, Wańkowicza, Wajdy „obwąchiwane” były podejrzliwie. Dopytywano się, czy to przypadkiem nie są jacyś opozycjoniści ew. ludzie, którzy w przyszłości mogą się do opozycji przyłączyć? Zdesperowana i zmęczona wielogodzinnymi pertraktacjami zdobyłam się na zuchwałe łągarstwo: oświadczyłam, że wymieniam w książce tylko osoby nieżyjące (uśmiercając w ten sposób m. in. Andrzeja Wajdę). Moje wyjaśnienia przyjęto za dobrą monetę. Do dziś nie wiem, czy była to ignorancja, czy po prostu biurokratyczny nawyk „odfajkowania” sprawy, gdy tylko znalazła się „podkładka”.

Jeśli wolno z garści osobistych doświadczeń wysuwać ogólniejsze wnioski, to chciałabym sformułować kilka następujących spostrzeżeń. Często bardziej dotkliwe niż ingerencje Urzędu Kontroli Prasy były wewnętrzne naciski wydawnictw i redakcji. Cenzor dostawał tekst tylko raz, prawdopodobnie miał do wykonania jakąś normę, stąd zdarzały mu się chwilowe nieuwagi. W wydawnictwie nad tekstem pracowano miesiącami, rozpatrywano każde słowo a istniała nasilająca się od początku lat 60-tych tendencja do zaostrzania kontroli, tak aby „Mysia” nie miała powodu do pretensji. Krążyły pogłoski (myślę że celowo rozpuszczane), że istnieje limit inter-

wencji, jakie może mieć wydawnictwo rocznie na swym koncie. W tej sytuacji niektórzy redaktorzy stawali się bardziej gorliwi niż zawodowi cenzorzy.

Nacisk cenzury zaostrzał się nieustannie od schyłku lat 50-tych. Gdy teraz przejrzałam stare roczniki *Mówią wieki* to wyraźnie zobaczyłam – co podpowiadała mi pamięć – że znacznie swobodniej mogliśmy się wypowiadać w latach 1958 i 1959 niż kiedykolwiek potem. Nie przypominam też sobie jakichś okresów „odwilży” w latach 1960–1976 w zakresie cenzury.

Mimo iż tak wszechwładny, Urząd Kontroli dbał o wielką dyskrecję. Z autorem na ogół nie rozmawiano wprost, postulaty przekazywano redakcji, nigdy na piśmie, zawsze ustnie lub telefonicznie. W rozmowach z autorami nie wolno nam było powoływać się na cenzurę – choć oczywiście wszyscy wiedzieli o co chodzi. Prawdopodobnie dlatego, że nie byłam członkiem PZPR i uchodziłam za „burżuazyjnego liberała” Mysia w sprawach *Mówią wieki* nie porozumiewała się ze mną bezpośrednio, ale niemal wyłącznie poprzez do tego celu wyznaczonego członka redakcji. Targując się i okazując stanowczość można było sporo uzyskać. Ostrzej traktowano „zapis” na nazwiska (tu z reguły nie było odwołania) niż merytoryczne problemy. W sumie bardziej uciążliwe niż oficjalna cenzura (zwłaszcza gdy przenieśliśmy się z cenzury prowincjonalnej bydgoskiej, gdzie była nasza drukarnia, do bardziej „oświeconej” cenzury stołecznej) były stałe naciski ze strony wydawnictw publikujących *Mówią wieki* a także ze strony Wydziału Propagandy KC PZPR. Temu ostatniemu szło nie tyle o pojedyncze sformułowania, ile o linię pisma.

Zniesienie cenzury, wolność słowa to ogromne osiągnięcie ostatnich kilku lat. Ale zniesienie formalnych instytucji nie oznacza porzucenia pewnych nawyków mentalnych, narosłych w ciągu półwiecza komunizmu. Czy istotnie pozbyliśmy się cenzorów? Trzy lata temu prowadziłam rozmowy z pewnym renomowanym nowym prywatnym wydawnictwem o wydanie mojej „Historii Polski do r. 1864”. Wydawnictwo zażądało usunięcia z tekstu książki słowa Polska i zastąpienia go słowem Rzeczpospolita szlachecka dla okresu od XVI w., zastąpienie nazwy arianin słowem brat polski (?), wreszcie dodania przy nazwisku każdej z osób wspomnianych w tekście od połowy XVI w. (politycy, artyści, pisarze itd.). wyznania tej osoby. Oczywiście zrezygnowałam ze współpracy z tym wydawnictwem.

Jakiś czas temu napisałam artykuł „Nauka, demokracja, wolny rynek”, bardzo ostro krytykujący sytuację w nauce, politykę naukową władz, a także postawy samych instytucji i środowisk naukowych (KBN, PAN, Rada Główna Szkolnictwa Wyższego, Kolegium Rektorów). *Gazeta Wyborcza* odmówiła druku bez podania argumentacji, *Polityka* odrzuciła tekst pod pozorem, że drukują tylko artykuły do 6 str. masz. (mój liczył 8 str. masz.) i że już dużo pisali o nauce! Artykuł wydrukowała wreszcie *Rzeczpospolita* (nr 246 z 23. 10. 1995).

Czy więc naprawdę cenzorzy odeszli wraz z likwidacją Głównego Urzędu Kontroli?